

JA

Rzadko naprawdę musimy używać zaimka *ja*. W jednej sytuacji jest to rzeczywiście konieczne: gdy, odpowiadając na pytanie zaczynające się od słowa *kto*, musimy przyznać, że to *my*. Albo przyznać się, że to *my*.

W innych wypadkach mówienie *ja* jest co najmniej niekonieczne.

Nasze polskie *ja* to jak łacińskie *ego*, francuskie *moi*, czy angielskie *me*, wyraźne, słyszalne, pełne świadomości siebie. Francuzi i Anglicy mają oprócz tego całkiem przyzwoite i nierzucające się w uszy i oczy *je* i *I* (trochę jednak pyszałkowato zapisywane wielką literą, może dla rekompensaty za jego skromną krótkość). Tych zaimków używają bez przerwy, kiedy tylko mówią o sobie, bez poważnego zdawania sobie sprawy, o czym (o kim) mówią.

My dla zwykłego mówienia o sobie mamy końcówki czasownika. To nimi mówimy, że to *my*. I piszemy. *Byłem* to co innego niż *byłeś* czy *był*. Kiedy mówimy, a zwłaszcza piszemy *ja*, to tak, jak gdybyśmy pokazywali na siebie palcem: *patrzcie, to ja!*. Ludziom skromnym przychodzi to z trudnością.

Dzieci późno dowiadują się, że są *ja*. Długo są imionami, czasem mówią na siebie *sam* lub *sama*. Potem już wiedzą, że są *ja*, i trochę się dziwią, że inni też.

Kto to taki, *ja*? Ten, kto mówi, kto pisze. A może to to mówiące, piszące, myślące, czujące w nas? To, co wie o sobie, że jest *ja* i że w ogóle jest?

W połowie dziewiętnastego wieku Trentowski ułożył z językowych klocków słowo *jaźń*, którego polskość jest niesłychanie wyraźna. Wziął *ja* i dodał do niego *-źń*, które znalazł w *kaźni*, *bojaźni* i w *przyjaźni*. Ten ostatni wyraz potraktował jak językowego ojca *jaźni*, bo przyjaciel to przecież ten, który jest przy mnie, więc *przy+ja+źń*.

Ta *jaźń* to coś w rodzaju samoświadomości. To takie *ja*, które wie, że jest *ja* (czyli sobą). Kiedyś, jak się zdaje, wyraz *jaźń* był częściej używany, modniejszy. Dziś w potocznym języku został, co

dość zabawne, w połączeniu ze słowem *rozdwojenie*. To tak, jakby sama jaźń, pojedyncza, nie miała już w języku oparcia, a ponieważ, jako wyjątkowo wewnętrzna i samotna, na wsparcie nie mogła liczyć, sama się rozpadła, rozdzieliła, żeby sobie samej pomóc zostać w języku. I została, ale śladowo. Nie przysłała za nią, żeby jej pomóc, ani *tyżń*, ani *myżń*, choć Lem to kiedyś żartobliwie proponował.

Jaźń to poczucie tożsamości (wolimy dziś właśnie to drugie, trochę uczone, przypominające termin sformułowanie). To bycie sobą, a właściwie *mną*. *Jestem sobą* – a kto jest *mną*? Oczywiście ja. Ale tak nie powiem. *Mną*, *mnie*, *mi*, stare *mię* – już mnie tak bardzo nie dotyczą, jak samo *ja*. To jest też o mnie – ale z zewnątrz. Wyrazy z innego źródła, mało mają wspólnego z zaimkiem *ja*.

One są naturalne, bez nich nie możemy się obyć. Inni widzą *mnie*, rozmawiają ze *mną*, myślą o *mnie*. Nie można tego inaczej powiedzieć. Muszę jakoś móc o sobie mówić, gdy jestem obiektem.

Gdy jestem podmiotem, najczęściej wyrażam się końcówką czasownika. W piśmie zaimek *ja* przychodzi z trudem – może stąd ten drażniący, prowokujący początek *Dzienników* Gombrowicza („Poniedziałek – Ja. Wtorek – Ja”).

Ale w mowie *ja* pojawia się częściej. Coraz częściej. Toruje sobie drogę do potoczności. Nie razi już przy czasownikach myślenia, chcenia i mówienia. *Ja myślę, że...* to już prawie to samo co *myślę, że...* *Ja chciałbym powiedzieć...* to standardowy, niewiele mówiący początek, taki jak *chciałbym powiedzieć...* (najczęściej zresztą używany wtedy właśnie, gdy nic nie chcemy mówić).

A wraz z rozwojem powszechnej asertywności, jako też z ogarniającym niestety wszystkich rozwojem świadomości potrzeby dobrej, wyraźnej, pozytywnej autoprezentacji, być może ten mały, krótki, ale wcale nie skromny, zaimek *ja* wejdzie do tekstów również tam, gdzie dotąd wystarczała tylko skromna, rzetelna i poważna końcówka czasownika.

Tak myślę. Ja tak myślę.